



Z DZIENNIKA STAREGO DZIADA.

STARKO DZIEDZIC

STARKO DZIEDZIC

Z DZIENNIKA STAREGO DZIADA.

Spisane przez

J. I. Kraszewskiego.

— 0 —

WARSZAWA.

NAKLAD MAURYCEGO ORGELBRANDA.

—
1879.

<http://rcin.org.pl>



F. 431/6

Дозволено Цензурою
Варшава, 10 Сентября 1878 года.

Drukiem Wł. Dębskiego, Senatorska Nr 20.

<http://rcin.org.pl>

..... Samiuteńki jeden jak palec, na świecie całym! siedem krzyżyków, zgarbione plecy, włosów omal, sił niewiele, snu mało, wspomnień do zbytku, pieniędzy odrobina — a w sercu!? pustki?—Nie. Gdy się nie może żywych, kocha się umarłych, a ci żywi, jak mi Bóg miły, nie tak są znowu źli i czarni jak ich tam malują!

U Kasi, dokąd chodzę na kawę, gdy się czasem rozgadam ze wspomnieniami mojemu, a rozgrzeję, ten i ów mi^śpowiada: — ale bo, panie, mości—poruczniku—lub t. p. powinien byś asindziej spisać te różne historye przeszłości, zawszeby się to na co zdało! Zapewne! choćby na zawijanie pieprzu lub sera, albo pod placki!

Albo się to nie wiedziało tego, co za los czeka papier zapisany! Jeszcze dziś pół biedy, papier gdy stary nauczo się szanować, a no dawniej, jak tylko nie dokument, nie oblig, w piecu t^{em} palono! albo pi gorzej—

tym czasem, miły Boże! — co z życia zostaje? kawałek papieru—albo nic....

W dziesięć lat po śmierci człowieka gadają o nim jak o żelaznym wilku; wnuki nie wiedzą o dziadku więcej niż o królu Gwoźdźdiku i bracie jego Ćwieczku. Ja com żył, natrzyłem ci się tego, nasłuchiłem gadania o tych, z którymi poufale przestawałem. Jeszcze grzeszne ciało nie zbutwiało, a pamięć się ulotniła jak woń, albo za pozwoleniem, smród w powietrzu.

A choć papier—*habet sua fata*, pocziwy to przyjaciel, z którym pogawędzić miło.

Siedem krzyżów, stare dzieje, a dorachowawszy do tego, że się znało i żyło z temi co téż mieli po siedem, mając sam jakie lat dwadzieścia, to się prawie półtora wieku ma z żywych ust, *de auditu et visu*, no — może i więcej.

Znałem ci ja takich co czasy Augusta III pamiętali, a opowiadali o ojcach co żyli za Sobieskiego.

Kaduk wie, jest w tém jakaś tajemnica, że kto w tych czasach z papieru tylko wie i uczył się ich z książek, całkiem inaczej je rozumie i czuje... Ale co o tém pisać, nie moja sprawa. Jam wcale nie filozof, ale *simplex servus Dei*.

16 Maja. Przystąpiło tedy do mnie pisanie! wczoraj się kawalek nasmarowało, chce się zaraz i dzisiaj tego samego. Można się przyzwyczaić, nieprzymierzając, jak do wódki i należy sobie zrobić z tego: *quod Deus avertat*.

Osobliwe bo teraz moje życie. Wszystko mnie odumarło — a mnie wola Jego przenajświętsza przytrzymała na tym świecie, abym sobie *liber baro*, pobaraszkował...

U Potockich mam kapitału półtora tysiąca czerwonych złotych całego mienia, prowizyi biorę pięć od sta, co czyni siedmdziesiąt i pięć czerwonych złotych, czyli złotych naszych półtora tysiąca. W sepeciku gotówką, na wypadek choroby lub czegoś esltraordynaryjnego złotych tysiąc w dukatach obrączkowych. Garderoba siaka taka...

Z precyozów: dwie obrączki ślubne, sygnet pradziadowski z krwawnikiem, zegarek bregetowski, który idzie jak słońce! Bielizny ni nadto ni zamało. Czego chcieć?!

Czym dobrze zrobił, że się przeniosłem do miasta, po dziś dzień nie wiem jeszcze, ot, już rok jak mieszkam w kamienicy na Starém Mieście, drugi się poczyna w czerwcu na Ś-ty Jan, a sam Bóg widzi, nie wiem czym dobrze zrobił czy nie, że się przeniosłem. Na wsi w komorném nie ma się gdzie staremu dziadowi pomieścić, a drugim człek zawadza i sam

nic nie robi. Miasto dla próżniaka ma więcej dystrykcji.

Dystrybucya dnia doskonała. Zrejestrujmy ją. Godzina siódma zimą i latem budzi się człek jeżeli spał, jeżeli nie spał, niepotrzebuje się budzić i wstaje. Tandem wszystko nagotowane stoi z wieczora do rannéj kawy na machince, nawet garnuszek śmietanki już sprazonéj, tylko odegrzać i para sucharków. Westchnąwszy do Boga i umywszy się dla siebie a ludzi, jeżeli zima, sam pan sam sługa w piecu sobie zapalam. Na stole już się kawa gotuje... Jeżeli lato lub wiosna, okno się otwiera. Z okna widok nie osobliwy. Dachy, dachy, dachy, a za dachami nad piaskiem czuprynki lasu. Ale górą jaskółki, pod oknem wróble, czasem sroka się przesunie, a na dachach kot spacerujący, psia jucha za wróblami—robi paskudną dystrykcję.

Powietrze na tych wysokościach — jeżeli z kominów sąsiednich dymem nie zawiewa,—niczego. Nie to co na wsi, bo czego to z niem w mieście człek się nie nałyka!! jednak niem ludzie żyją.

Kawa—kawałeczek cukru rzuca się na ziemię w kącie dla znajomej myszy, która po niego regularnie przychodzi. A taka śmiała, że gdybym zapomniał, to się ryzykuje z pod krzeselka ku środkowi upominając o daninę.

Resztki sucharków lub chleba sypię wróblom za okno. A i te zbereźniki tak się uzuchwały, że gdy okno zamknięte, w szybę dziobią. Otóż to tak gdy się kogo nazwyczai, że mu się służy!

Tandem miasto się rucha na dobre — idę na mszę do XX. Dominikanów, dziad znajomy częstuje tabaką "zieloną" i dostaje grosz, więcej nie mogę dać — ale ten go regularnie dochodzi jak cukier moją mysz. Na téj mszy przed ołtarzem Matki Boskiej bywa nas krągło osób pięć, nie licząc księdza serwitora i służby kościelnej.

Stara jejmość w czarnym kapturku z ogromną książką i workiem, w okularach, która wzdycha na kościół cały, wdowa po rzeźniku z Długiej ulicy. Item o kiju staruszek w kapocie, suponuję woźny być musi, modlący się przykładnie z rękami złożonemi i oczyma podniesionemi. Item stara panna, loki rude przyprawne; musiało to kiedyś być piękne, formalnie kokietuje Pana Boga, tak się mizdrzy... Item staruszka, której się ręce okrutnie trzęsą i głowa takóż, a podnieść ję już nie bardzo może — ta się modli z pamięci bo niedowidzi nieboga.

Item, ostatnia dziewczyna jakaś z różańcem u ręki, blada, oczy jakby wypłakane, koszyk przy niej. Sługą być musi, pobożna ja-

kaś bardzo. Może też oprócz Panu Bogu nie ma się komu poskarżyć.

A szósty pan Gabriel Kalasanty Rzempiński sługa wasz, ongi porucznik, niegdy kawałek obywatela, ale to wszystko *prater itum plus quam perfectum*.

Godzina dziewiąta zimą, czy latem dla tego, żeby nie zardzewieć i nie skostnieć, człek lokomocyi używa, *per pedes apostolorum*, bo na inny rodzaj, kieszeń nie pozwala.

O wierzchowój jeździe, choćby człek i mógł jeszcze na siodle się utrzymać, mowy być nie może, a o powozie! ani myśleć. Ale po trotuarach, gdy nie bardzo ślizgo, gdy nie bardzo błotno, gdy nie ma śniegu, gdy nie ma tłumy, spacer ku ogrodowi Saskiemu lub Kraśińskich, lub w aleje—wcale wygodny. Czego chcieć?—ławka się gdzie niegdzie znajduje.

Tu tedy spektakl gratis. Prawie nikogo nie znam, mnie też tak jak nikt, mogę sobie swobodnie bąki strzelać i napatrzeć się do woli na to co mnie spokusi.

A w mieście, dali pan, jest bo na co patrzeć. Tać to są żywe komedye chodzące, jeśli nie tragedye, ci ludzie co się po ulicach kręcą. Czasem się i smutna farsa trafi. Już mi się zdarzało, jako wiekowemu człowiekowi widzieć w karetach takich co zapalki roznosili, i

w dziurawych butach, tych co paradowali poszóstno...

Spacer trwa z rozmaitemi waryacyami do obiadu. Jadam zwykle w traktierzyku na Długięj u Hołkiewiczów, ludzie nie źli, chociaż zupełę dają przebrzydłą, ale za ten grosz, który się tam płaci, trudno pulpetów i bażanta wymagać, a ludziska też zarobić muszą. Ja się dziwuję zawsze jak oni i to mi dać mogą za te nie spełna dwa złote, co się im płaci. Jadło się niegdyś lepiej, a na starość, na starość i apetyt nie wielki i byle co starczy. Siłami się nie szafuje. Byle iskierkę tlejącą czémkolwiek podsycić, by nie zgasała.

Hołkiewicz czasem do obiadu zamiast przystawki, plotkę jeszcze jaką miejską da.

Zły to pono zwyczaj, że się po obiedzie przedrzemać muszę, ja to wiem, ale się nałogiem stało. Muszę się więc wdrapać na trzecie piętro i siedząc na sofce trochę chrapnąć. Budzę się regularnie, gdy gdzieś na nieszpór dzwonią, i —otrząsnąwszy się, do Kasi. Kawiarenka nie osobliwa, ale się do niej nawykło, ma się tu swój stółek, swojego Kuryerka, Gazetę Warszawską i filiżankę kawy, nie takiej jak ranna co ją sam robię, z cykoryą—ale to tam mniejsza. Kilku znajomych zawsze się znajdzie; czas, jak z bicza trzasł, zejdzie do wieczora... Co tu robić? Staremu po teatrach

i ogródkach się nie włóczyć, bo i nie ma za co—więc spacer znowu, ale po mieście i z gawronadą. Od Starego miasta do Ś. Aleksandra — nim się dojdzie, napatrzy się człek do syta, wesel i pogrzebów, pijaków, kłótni, ekwipażów, łobuzów i—czasem ekstraordynaryjnych ewenementów.

Otóż i wieczór; zwrot ku domowi powoli i na górę, porządkuje się nieco gospodarstwo, ściele łóżko, pacierze mówi, pomyśli o przeszłości i kładzie na spoczynek. Gdy sen sklei powieki Panu Bogu dziękuje.

17 Maja. Myszy mojej dziś nie było ani słychać ani widać, kawałek cukru leży pod stołkiem nie tknięty. Czy nie zdrowa, interesa jakie familijne, czy, uchowaj Boże, ten kot bury gdzie ją schrupał.

Nie mogę cierpieć tego szelmy, bo to zbójca prawdziwy, poluje na wróble, dobiera się do gniazd jaskółczych, stacza boje ze szcurami, a myszy łyka jak kluski. I że to tego kto nie zabije—bo to jest zwierzę szkodliwe i paskudne, już spojrzawszy nań obrzydliwość bierze. Koty bywają zwykle czyste, myją się, czeszą, ta bestya najeżona, poopalana, brudna, ucho jedno gdzieś ucięte, a z oczów mu patrzy łotrostwo. Ale nie może być, żeby moja mysz miała się eksponować na dachy, po

których on poluje. Po co? daje się jój cukier, bułka... czasem i co w dodatku.

Raz już tak było, że jój nie widziałem trzy dni i myślałem, że się co stało biednemu zwierzęciu — aż czwartego dnia — jest! A ja ją znam! i z twarzy i ze śmiałości poznałbym ją zawsze, a kiedy z sobą raz przyprowadziła jakąś kompankę, zaraz wiedziałem która obca. Nie ma nic w świecie pociesniejszego, jak gdy wlaższy w sam kątek, siądniesz, na tyłku, w przednie łapki cukier chwyci i temi białymi ząbkami, chrup, chrup.. Czysta wiewiórka i tak elegancko wygląda.

Coby się jój stać mogło! Zdechnąć! nie miała przyczyny, wyglądała żwawo i zdrowo.. Okaże się to jutro.

Wróble się stawiały do apelu wszystkie. Te miejskie wisusy, czyste łobuzy uliczne. Na wsi pamiętam, całe to inaczej wyglądało, czyściój, trochę dziko, ale nie miało to tego urwiszowstwa w sobie, co tutejsze. Miasto działa nawet na wróble. Gdzieś się to brucze, pióra nie w porządku, jedno się nastawiło, drugie nadłamało, trafiają się kulawe, a widziałem jednego, co mu tylko jedno oko zostało, ale proszę tylko patrzeć, jak się to tłucze, czubi a wrzeszczy, a wierci. Satysfakcja na to patrzeć. Mówią, że Trembecki szambelan, wszystkie wróble co do niego chodziły znał i ich ge-

neologią. Bałamuctwo! Genealogią! ale ba — gdzie u nich Genealogie, albo to pyta ojca i brata.. Jedna tylko excepcya, sam to experymentowałem. Gdy matka ze smarkaczem przyleci, co dopiero niedawno się nauczył siako tako ruszać skrzydłami, sama nie je, a jego karmi. Czasem, z pozwoleniem, durniowi pakuje w gardło i tak go oćka, oćka, że się le-dwie potém ruszy. A bury na to tylko czeka.. Nie! ten bury, ten bury! Słowo daję, dałbym złotówkę żeby go kto jakim sposobem sprzątnął, bo tu się nic dalej żywego przed nim nie utrzyma.

18 Maja. Myszy jak nie ma tak nie ma. Coś zaszło — coś w tém jest. Szkoda mi jój. Ale, kto wie? Może nie wychodzi z dziury dla słabości, i gotowa w niej zdechnąć z głodu.

19 Maja. Dziś miałem extraordinaryjną przygodę. Stróż Demko zachorował, który mi nosi wodę na górę, no i czasem przymiecie i śmiecie zabiera. Nic osobliwego pójść ze dzbankiem do studni, bo ja się tam tego nie powstydzę, ale na trzecie piętro na moje nogi, jest subiekcyi trocha. Czuję potém w kolanach, bo się i tak spuścić trzeba i wdrapać razy kilka. Wszyscy na tego gospodarza krzyczą, że zdierca i klótnik, a ja tego z nim nie doświadczam, bo oto wiedząc, iż nie ma komu mi wody przynieść, sam się o chłopca posta-

rał i przysłał mi go. Zkąd on go wziął,— Bóg go wie, gdzieś z rynsztoka, bo to dopiero łobuz nad łobuzami, co się zowie!! Jakem go zobaczył, a! Jezu miłosierny! Choć go za biletami pokazywać. Buty, poczynając od nich, gdzieś ze śmietniska chyba wziął i dwa razy większe niż jego niemożliwe łapy.. Spodnie na jednej szelce, obszarpane a zatłuszczone. Spencerek, dam dukata kto mi powie jakiego koloru, twarz zamorusana, włosy jak szopa. A we łbie tym, dwoje oczów jak węgle czarnych.

Gdy mi się zjawił na progu, myślałem, że przyszedł po jałmużnę i jużem się gotował z trzygroszniakiem i z kazaniem — aż tu niepytany, obejrzał się i do dzbanka.

— A tobie co do niego.

— A kiedy gospodarz mnie przysłał, przez to że Demko chory.

Więc rozmowa. — Cóż Demce?

— Kto to może wiedzieć; leży a zębami dzwoni.

Ani chybi febra, pomyślałem.

— A ty się jak zowiesz?

— Na chrzcie to ja wiem że Józkiem mnie nazwali, a tak mnie prześladują Czupurnym.

Zacząłem się śmiać.

— Czekaj, a zkadżeś ty?

— A znikąd? proszę pana.

— Co u licha, a zkadżeś się wziął?

— Byłem u majstra u szewca, co prawda, ale jak się spije, to tak wali, że kości łamie, tom uciekł, i służę do latania przy sklepach i ot tak, jak się zdarzy.

— Nie masz rodziców?

— Gdzie? kiedy ich już nie stało! rzekł Czupurny.

— Gdzież legasz, ha?

— Spi się to tu, to tam. I począł się dobrać do dzbanka.

— Patrz-że, rzekłem, żebyś nie stłukł, a po płócz, i palców w niego nie maczaj.

Rozśmiał mi się pokazując zęby białe, i furknął. Mój miły Boże, co to z tego wyrosnie! Na gałęź! Aż żal. Bo nawet zdaje się sprytne.

Gdy ze dzbankiem powrócił, dałem mu trzy grosze. Setnie mi się go żal zrobiło, i byłbym go po głowie pogłaskał, ale go ani dotknąć, taki brudny.

Pocałował mnie w rękę. Pytam go: — A co to z ciebie będzie?

Rozśmiał się i podrapał za ucho. — Abo to ja wiem.

— Uczyć by cię czytać,— odezwałem się.

— A mnie się to do czego zdało! rozśmiał się. Ale drapał mi zaraz. Jeżeli przyjdzie

drugi raz, lepiej się z nim rozgadam, bo to żal, zwała się.

20 Maja. Mysz tedy jest, wróciła wczoraj. Co jój było, trudno dociec. Przyszła szparko bardzo po swoją daninę i jadła jak zgłodzona. Kruszynki nie zostało. Zdaje mi się, że kawałek z sobą poniosła. Kto to może wiedzieć? może matka dzieciom? Jak tam to biedactwo podrośnie, ona je pewnie przyprowadzi.

Wróble na gwałt jeszcze gniazda ścielą, bo widzę, że gdzie było jakie piórko, słominka, puszek, wszystko chwytają i po dziurach za włóczą. Jaskółki też bardzo czynne. Wszystko to pracuje i po swojemu Pana Boga chwali, Nie wiem dla czego nietoperzów nie lubię. Jak tylko zmierzch, to te włóczęgi biorą się zkądciś nie wiem, i głupio latają. Muszę okna zamykać, bo jeszcze by mi który wpadł do izby, a mówią że jak się to we włosy wkręci... Prawda, że u mnie ich mało, ale jeszcze gorzej gdyby takiemu jegomości ubrdało się sięść na łysinie. Z tego może być choroba nawet. Do czego się to zdało na świecie te nietoperze! jednemu Panu Bogu wiadomo.

Miałem tedy znowu wizytę Czupurnego. Dziś już był u mnie jak w domu, a ze mną, jakbyśmy się znali od wieków. Jucha sprytna, łobuz prawdziwy, zabawiał mnie anegdotami brukowemi; że staruszkę powóz na Dziekanii prze-

jechał, że się u P. Maryi jakoby u dzwonu serce urwało, co ludzie różnie tłómaczą. Spytałem się go o Demka, bo mi go żal, choć napija się, mówi że leży i stęka. Gospodarz by też powinien posłać i po doktora, bo się to tak biednemu człeku dać zdychać nie godzi.

Gdyby Czupurny chciał się uczyć czytać? Nie mam tak dalece co robić, chętnie bym mu się o elementarz postarał i pokazał, ale gdy mu wspomnę o tém, drapie ze strachu.

21 Maja. No i Demkowi się zmarło. Zdawał się człek pilny, tylko że się zakrapiał. Chwytał gdzieś febry wiosennej, nic łatwiejszego, wódka go rozgrzała i nie czuł. Powiadał mi gospodarz, że gdy przyszło do rewizyi łachmanów i siennika, jak zaczęli chodzić po węzełkach, złotych ze trzysta się znalazło samemi dziesiątkami i berlinkami. Nie do wiary. Jakaś baba teraz się przyznaje, że była jego żoną, i rości prawo do sukcesyi, a gdy żył, nigdy jój tu widać nie było. Dopiero mi rozpaczać zaczęła, gdy już leżał martwy i trzysta złotych się znalazło.

Mysz znowu regularnie przychodzi. Co jój było? Podobno nie odgadnę.

Z Czupurnym jesteśmy za pan brat. Ryzykuje się od progu do pół pokoju i wszystko ogląda, oczyma sznurkuje. Takie to ciekawe a rozgarnięte — a takie bydlę. Straszniem

się śmiał gdy mi dziś z pychą oznajmił, że gospodarz go przyjął w miejsce stróża. Słyszę nie chciał na żaden żywy sposób, a ten mu po nogach pełzał żeby na próbę go tylko, na tydzień choćby przyjął, i zaklina się, że domu nie odstąpi, i że wszystkiemu radę da. Ciekawym. Gospodarz przez kalkulacją gotów go zatrzymać, a to się na nic nie zdało. Dziecko się zamęczy, no, i niczego się nie nauczy i na wiek wieków zostanie przy miotle i cebrze.

23 Maja. Znowu myszy mojej nie ma. Prowadzi życie nieregularne, tegom się po niej nie spodziewałem, bo minę ma uczciwą, a bałamuci się. Nie spodziewam się żeby ją jakie nieszczęście spotkało.

Ze dziś deszcz padał, nie rychłom wyszedł. O niezwykłej godzinie patrzę, z dziury którejdy ona przychodzić zwykła, wyłazi pyszczek, ale nie jej. Dowodnie wiem, że nie jej. Ta wchodzi śmiało, a ten intruz oglądał się i oglądał, więc jak nie tupnę nogą— a nie pójdziesz ty mi precz! Dostyc że się już i inne o tym przesmyku dowiedziały. Ale za się! miejsca jeszcze wakującego nie ma, a ja kilku myszy żywić nie mogę, zwłaszcza że ten Czupurny, no — nie można się nie ulitować, a bywa, jak powiada, głodny. Jużci nie kłamie.

24 Maja. Teraz gdy przychodzi po dzbanek

a nie ma co robić, czasem się zagadamy. Spytałem go ile ma lat?

— Tego to ja nie wiem, proszę pana. Jak matusi się zmarło, to mnie Izydorowa przekupka wzięła z miłosierdzia, com siedział, ja tam nie wiem, coś lat dwa przy straganie. Razem jój bułkę zwędził, czegoś zła, zła — i precz— a że mnie szewc Sawikowski widywał, poszedłem do niego. Wzion mnie. Myślałem co mnie swego rzemiosła uczyć będzie, a on za uszy wytargawszy, powiedział, że m smarkacz, że mi jeszcze zawczasu. Tom po to u niego był, żeby się znęcali nademną, kto żyw. Majstrowa sobie, Sawikowski sobie, a szelmy chłopcy, to łaska Boża że m wyszedł z duszą. Bywało od serów na głowie guz na guzie, a sińców to ani zliczyć. Upije się majster, to byłem pisań, wali pociągaczem, bo to u niego był zwyczaj, i po trzeźwemu żeby rozumu nabijać, dostawało się i drugim. Takem go i porzucił.

— Cóż z ciebie będzie? spytałem.

— Jak Pan Bóg da, stróżem będę; a na co mnie więcej. Demko, słyszę, strach co pieniędzy nazbierał.

Rozśmiałem się.

Powiedział mi nazwisko straganiarki u której był, ciekawość wzięła u niej o chłopca popytać.

Baba herod ezysty, spała okrutnie a mała, trochę wąsów, a wyszczekana i no! Jużem ją przywitał jak nie można grzeczniej. Zrazu zrozumieć nie chciała po co przychodzę, a gdym o Jóźku zagadał, poczęła jak pytel.

— A bo to jucha! skurczypałka! nic dobrego. Łasował a łasował i w miejscu go nie było strzymać, gdzie się dwóch łobuzów tłukło, on pewnie już tam trzecim musiał być. To by jeszcze było nic, bo to młodość— trudno, ale ja go bywało po macierzyńsku w morde chlasnę, to mi zaraz nogi za pas i ucieka. Słyszę że i u szewca nie wytrwał.

Poczęła wróżyć gałęź i szubienicę; a jednak jawnie go jój żal było. Spytałem czy nie wiedziała co o rodzicach.

— Jakżeż nie, tomci ich znała, ojciec się za pił, ale to, bodaj nie był ojciec, bo się z nią ożenił, gdy ten już był na świecie. Matka była zbyt nica i ot też i skończyła marnie. Jabłko się nie odtoczy od jabłoni.

Gdym odchodzić chciał, poczęła pytać o chłopca — tak go jój było żal.

25 Maja. Myszy nie ma, prawdopodobnie już nie wróci. Wróble też pono jadła nie potrzebują jak w zimie i w ciężkie czasy, zdezerterowały; jeden Czupurny mnie się trzyma. Przynoszę mój chleb, co go nie dojem przy obiedzie, a czasem i jaką polizówkę. Chłopiec

się do mnie przywiązał i spoufalił się, że już do stolika przychodzi, oprze się łokciami na nim i tak ze mną gawędzi.

Muszę mu choć na tandecie buty kupić, bo na te poczwarne, ogromne chodaki patrzeć nie mogę; ale mu nie dam, chyba się zacznie uczyć czytać ze mną. Ma taki wstręt do elementarza, że jak go zobaczy, bom już kupił umyślnie — drapie jak djabeł od święconej wody. Ale figłem go podejść.

26 Maja. Nigdy się nie spodziewałem, mysz z wojażu powróciła. Jest! jest! ta sama. Nie znam obyczajów tych stworzeń, lecz po co ona, mając to, co do życia potrzeba, włóczy się gdzieś po dziurach. Może na półapkę trafić.

Czyby też i myszy miały fantazyę mieć? wszystko to być może.

Doktor Sulzer, człek stateczny i uczony, chociaż mu się znać nie wie — spotykam go u Kasi,— powiada, że bodaj by się na wojnę nie zebrało. Prorokuje drożyznę wiktuałów. Byle Hotkiewiczowie nie podnieśli ceny obiadów, bo bym musiał zredukować się. Ale zresztą! co mi tam.

27 Maja. Czupurny się uczy, ale dla butów; pokazałem mu je i nie daje aż alfabet poznać. Pojętny nadzwyczaj, a leniuch! Ja mu pokazuję litery, ten zagaduje, co się na ulicy działo, co w kamienicy. Kucharka z dołu opuchła,

suponuje, że pani ją tak utraktowała. Na drugim pięttrze jejmość z jegomością tak się kłócili, że wszyscy powybiegali słuchać, bodaj czy do kułaków nie przyszło, bo w końcu jejmość się rozbeczała. Ale ten Czupurny powiada, że ile razy męża wytłucze, potem sama płacze. Oboje pono nieszczególni ludzie. Ja mu A, B, C, a ten lichy wie co..

1 Czerwca. Nareszcie alfabet umie— i buty wziął. Do syllabizowania trzeba stare spodnie odłożyć; za darmo się uczyć nie będzie.

Doktor Sulzer, czarno patrzący na świat, przewiduje w tym roku tyfus, a uchowaj Boże wojny, zarazę morową. Przydało by mu się oboje, bo klientów nie ma, a człek widocznie bardzo uczony..

Studnia najrozmaitszych wiadomości, cóż z tego, gdy mu się nie wie. Jada on także u Hotkiewiczów, praktykę ma bardzo skromną. Czarno patrzy na świat. Inaczej nie może być. Powiada, że wszyscy doktorowie, oprócz niego osły. Uczeń Franka. Rozmaitych u niego historyj pełno. Lubię go słuchać, ale, gdybym chory był?— hm! — nie wiem, posłałbym po innego. Gdy się komu nie powodzi, trudno w niego wierzyć,— taka ludzka natura.

2 Czerwca. Ja z tym chłopcem rady sobie nie dam, — coraz mi się bardziej rozwyrza, a jużem go złapał na łasowaniu. No cóż? wy-

szczerzył zęby, począł się śmiać, pocałował w rękę, zaręczył że tego więcej nie będzie. Prawdę rzekłszy, nie było go tam tak bardzo o co pozywać! Kawalek szynki com sobie przyniósł na podwieczorek, bo kolacyi nie jadam.

Syllabizować poczyna — ale mam wątpliwości, bodaj czy nie umiał on już wprzódy i alfabetu i syllabizowania, a udawał tylko dla butów i spodni, że się uczy! Minę ma taką figlarną i tak mu to idzie chwilami łatwo? Ale, przypuściwszy nawet, żeby tak było! Jestże to znowu grzech tak wielki? Chłopię straszliwie biedne, w nogi mu było zimno. Sądził, że darmo nie dostanie okrycia. Przytém to są domysły, dowodu nie mam. Katechizmu go pono nikt nie uczył, a natura i instynkt każą się ratować — choćby sprytem. Innemu by to było nie do przebaczenia, jemu — odpuszczam chętnie.

Zdaje mi się, że stary surdut tabaczkowy, gdyby go przerobić, jeszczeby mu mógł służyć wyśmienicie.

3 Czerwca. Chłopiec mnie codzienną więcej zajmuje, prawdę rzekłszy przez egoizm — paskudna ludzka natura. Nie mam się do kogo przywiązać. Mysz mi zginęła, wróble się absentują — chłopak daleko mi więcej robi satysfakcyi, zwłaszcza że roztropny.

Chodziłem na zwiady do przekupki, u któ-

rój teraz bułki sobie kupuję; dopytałem nazwiska domniemanego ojca i matki; po tej nici do kłębka dojdę i genealogią. Czupurnemu wysztyftuję i metrykę mu wynajdę, bo jużci gdzieś chrzczony był.

Zgadało się o tém z Sulzerem, który biedę klepiąc, zwykle ubogich leczy i łachmany zna doskonale. Sulzer mi mówi, że matkę jego pamięta, że istotnie chłopak już był na świecie, gdy się ten łajdaczyna z nią ożenił. Ona szła za niego, aby mieć podporę w mężu, a on—by miał z niej sługę. Kobieta była delikatna, słabowita, zamęczyl. Sulzera zawołali do niej, gdy już nie było żadnego ratunku, opowiadała mu o swoim życiu. Była wprzód garderobianą u starościny N... Syn jój, młody chłopak, całemu jój nieszczęściu winien. Starościna, dowiedziawszy się o stosunkach, wypędziła ją z domu bez litości. Miły Boże! znam ten dom! Starościna za młodu nie była tak surową dla siebie i wiele mówiono o jój różnych miłostkach. Ale co wolno Jowiszowi, nie wolno.. prostej garderobiance. Pana Starościca, a dziś senatora S... znam nawet.. Że też się ani spytał, ani dowiedział co się z nieszczęśliwą stało.

Dosyć, że to cały romans ten chłopiec — a właśnie nie komu innemu się dostał w ręce jak mnie. Zrządzenie, opatrność Boża.

4 Czerwca. Spotkałem się dziś z gospodarzem na wschodach: ja, choć go tu wszyscy nie lubią lokatorowie, jestem z nim w dobrych stosunkach. Niezły człowiek, tylko trochę gorący. Zajmuje się handlem i ma na dole sklep łokciowy. Nieustanny kłopot, kontrola, dogłębienie muszą wpływać na charakter. Ma na głowie i administracją kamienic dwóch i handelek.

Zobaczywszy mnie, przywitał bardzo uprzejmie, była godzina poobiednia, szedłem właśnie do Kasi na kawę, zaprosił mnie do siebie. Nie ma co mówić bardzo grzecznie. Dwoje ich jest, podżyli ludzie, mają podobno tylko jednego synowca i to urwisza, z którym sobie rady dać nie mogą. Nudzą się, szczególnie ona, bo sama jedna siedzi, a jak się wymodli w kościele, kwiatki podleje, kabałę parę razy pociągnie, chyba w okno sięść i na ulicę popatrzeć. Mieszkanie mają wcale porządne, choć przez oszczędność od tyłu i w sąsiedztwie tego niesfornego małżeństwa, które takie hałasy wyprawia.

Gdyśmy siedli do kawy, a nie można powiedzieć tylko że kawa była wyśmienita, bez porównania lepsza niż u Kasi — powiada mi mój juryzdator.

— Pewnie to uszu i pana doszło, że nie mam łaski u moich lokatorów; ale jakże tu

im dogodzić? Jedni nie płacą, drudzy mi dom niszczą, inni spokoju sąsiadom nie dają, wszyscy dla tego, że pod moim dachem mieszkają, przez to samo nienawiść mają do mnie.

— Proszę mnie do tego pocztu nie zaliczać, — rzekłem, — bo ja się skarżyć nie mam powodu.

— Waćpan, panie poruczniku, człowiek jesteś stateczny, do porządku nawykły, nie mamy powodu do kollizyi żadnej z sobą.

Gdyśmy się rozgadali, wspomniałem o Czupurnym, że mnie ten chłopak interesuje.

— Mnie też, — odparł gospodarz, — biedna to sierota, z bruku, trzeba nad nim miłosierdzie mieć. Ale szczególna rzecz, że takie biedactwo byle mu lepiej było, zaraz się psuje, trzymać należy ostro, wziąłem go za stróża, co śmiechu warto, bo to smarkacz, a w istocie i ja sam i moja służba na kamienicę nagląda, a jego trzymam w sperandzie, że go na człowieka wyprowadzę.

Małom go nie uściskał, tak mi tém trafił do serca i opowiedziałem mu z mej strony co robię z Czupurnym. Dosyć żeśmy się uśmieli. Dobry człek, słowo daję, bardzo w gruncie zacna natura.

6 Czerwca. Idzie mi o to, jak się do senatora zbliżyć, — zachodzę w głowę. Za małą jestem figurą, abym się ważył zachodzić mu

drogę. Znałem ci go młokosem, ale mnie sobie nie przypomni. Możeby dowiedziawszy się o chłopcu uczynił co dla niego? Chociaż znowu trudno! Choćby miał serce, wstydzić się będzie.

Mysz już drugą powoli sobie przyswajam; wcale inną ma naturę, żwawsza, śmielsza, więcej niedowierzająca, płochliwa, ale z dniem każdym nabiera poufałości. Zuchwałe to razem i nieufne.. Wpada czasem aż za krzesło, a byle szelest, piorunem do dziury. Nie jest tak ładna jak tamta pierwsza, nie ma tych ruchów co poprzedniczka. Co się też z nią stać mogło? O! ten kot! ten kot!

8 Czerwca. Nigdybym się był tego nie spodziewał, nigdy w świecie! Czupurnego nie ma, ani śladu! Wesół był, chwalił się, że mu doskonale, na robotę się nie skarżył, całował mnie po rękach, nazywając dobrodziejem, a wczoraj do dnia, zabrawszy swe łachmany, drapnął. Gospodarz w furii na łobuza, próżno go mitygowałem!

Powiada — niewdzięcznik! Co to tam potępić zaraz. Lato, mosanie, chłopcu się chciało na swobodę; to jest w naturze. W okolicy na powietrzu świeżem znajdzie sobie robotę, biedaczysko!

A miałem już tak piękne dla niego projektu! Byłbym pana senatora zainteresował i — mógłby być pójść do szkół.

Ale to, słowo daję, tak jak z tą myszą, le-dwie się zaczęła przyswajać i — poszła szukać lepszej doli. Mam już takie dziwne szczęście, do czego się zaczęę przywiązywać, Pan Bóg mi to odbiera. Wola jego. Może to i lepiej? bo by człek potém miał z tego jaką zgryzotę.

Poskarżyłem się Sulzerowi, naśmiał się. Po-wiada, dziękuj asindziej Panu Bogu, że się to zawczasu stało i że jeszcze nie okradł uchodząc.

Zgorzkniału jakiś człek. Zaraz — okradł!

11 Czerwca. Nie mogę inaczéj powiedzieć, tylko że mi po tym chłopcu straszliwie tęskno. Więc i dobrze że drapnął, bobym się był za nadto przywiązał. Ta samotność dokuczliwą jest. Na zimę pewien jestem wróbli, myszy są niestateczne. Karm je karm, żebyś im nie wiem co dawał, skłonne są szukać lepszego losu i nikną. Po kilka dni żadna się teraz nie pokazuje. Latem widać i one na pola wychodzą, bo i im natura i swoboda miła.

12 Czerwca. Gdym dziś wieczorem poszedł na przechadzkę do ś. Aleksandra, jak zwykle, patrzę na placu, poznałem go po spencerze, uwija się mój Czupurny; ten sam, słowo daję, z workiem piasku na plecach, ale jak mnie zobaczył, w nogi. Próznom kiwał i wołał, czmychnął. Przecież się mnie nastraszyć nie mógł.

Pięknie zamieniał kondycyę! Ciężki piasek,

może wilgotny, dźwigać na plecach. Ale na swobodzie! a przytém w towarzystwie innych łobuzów. Młodość potrzebuje ruchu, awanturowania się. Alboż to i ze mną inaczej było, gdym zemknął od rodziców do wojska!

Nie byłbym go sekował o ucieczkę, chciałem tylko dać admonicję— ale jak drapał! jak drapał! aż się kurzyło. Nie byłem widać dość dla niego powolnym, gdy mi nie ufa.

13 Czerwca. Sulzer mi się przyznał, że ostatkami goni. Praktyki mu latem zawsze brak, a i zima licha, najwięcej kiedy dwuzłotówkę weźmie. Musiałem mu pożyczyć dukata. Ręka rękę myje. To tylko źle, że na świat narzeka — ludzi czerni. Cóż temu kto winien, że jemu się nie powodzi. A mnie za tyłu innymi. Powiada, że doktorowie go prześladują— ale i on pocziwój nitki na nich nie zostawi. Gdybym mógł co pomódz temu człowiekowi — bo słuszny człek jest i nie głupi— tylko skwaśniał. Mówią, że po wsiach doktorów brak. Czegóż on tu siedzi. Powiedziałbym mu to, ale będzie myślał, że się go chcę pozbyć. Biedne człeczysko!

14 Czerwca. Awanturę miałem formalną. Gdym ze mszy szedł, patrzę, psisko się wlecze, skowycząc, nogę za sobą wlecze, czy przebitą, czy złamaną. A chudy był! Począłem go wołać i — wabić. Staął, potem, zbliżył się do

mnie. Powoli i powoli dał się podprowadzić do domu. Nie darmo się dawniej myśliwym było i ze psy miało do czynienia. Obwiązałem mu nogę szmatą i nakarmiłem. Psisko się ani już chce ruszyć odemnie. Kłopot — gospodarz w kamienicy psów nie znosi; porzucić nieboraka z tą nogą! Nie wiedzieć co począć! Zaprowadziłem go do przekupki i zapłaciłem, żeby mu przy sobie zostać dozwoliła. Psisko jakby zrozumiało, położyło się u budy. Jutro się przyjdę o niego dowiedzieć.

15 Czerwca. Pies będzie zdrów, nogę miał nie złamaną, ale stłuczoną mocno, wylize się. Gdy przyszedł się dowiedzieć, poznał mnie, zaraz i ogonem zaczął werdać. Musiał być wcale niczego, ale się zmizerował. Czy go pan porzucił, czy się zabłąkał?? Czy go jakiś przypadek spotkał? Nakarmiłem go i baba mi przyrzekła, że mu da leżeć przy sobie. Sulzer zdał mi się dziś trochę jakby napiłym. Nie jestem pewnym — miałżeby nałóg?? I to być może.

A zaraz go za to potępiać! Boże miłosierny, człowiek co żadnej w życiu pociechy nie ma, że z desperacyi szuka w kieliszku chwilowego szczęścia błysku, siły do życia? Gdy wielcy i potężni panowie piją, to nic, a gdy biedne człeczysko sobie podchmieli, zaraz nań kamieniem ciskają.

16 Czerwca. Pies, wylizawszy się — uciekł. Ani mu się dziwuję, musiał dawnego pana odszukać. To i lepiej. Przekupka, która się do niego przywiązała, strasznie narzeka na psią niewdzięczność — a dawny jego pan tak-żeby miał do tego prawo, gdyby, mogąc doń powrócić, zaniedbał.

17 Czerwca. Dzień szczęśliwy — dzień prawdziwie do zanotowania. Tegom się nigdy w życiu nie spodziewałem. Idąc Miodową ulicą naprzeciwko Sądu Apellacyjnego patrzę, stoi ktoś, taratanka czarna, na szyi chustka po naszymu, po wojskowemu, wąż szpakowaty do góry, przysiądz że Posiłowski. Ale zkądby się on tu wziął? Stałem, ten się też gapi na mnie i powoli podchodzi. Jam nie śmiał i on też zaczepić, mierzyliśmy się oczyma długo. Wreszcie przystąpiłem — Posiłowski. A ten jak mi się nie rzuci na szyję!

Służyliśmy w jednym pułku, leżeli w jednym lazarecie, odbyliśmy wspólną niewolę — razem się pojedynkowali — o głupstwo.. Dopieroż się posypały pytania, zaszliśmy pod „Szczipaka.“ Nieboraka sprawa tu zapędziła, ma folwarczek pod Garwolinem.. Żonaty, dwoje dzieci, ale się już o szpakowatych włosach ożenił. Ponieważ tego dnia nie miał już nic do atentowania, zaprosiłem go na obiad do Hotkiewiczów, zapowiadając, że występo-

wać nie myślę, on też gęby popsutej mieć nie powinien....

Tośmy się nagadali, ażem odżył. Z obiadu poprowadziłem go do Kasi na kawę, wieczorem wreszcie do mnie, bo końca tej rozmowie nie było.

Zestarzał poczciwy Krzysztof! Powiada, że mu się stare rany czuć dają. Mój miły Boże, ma rodzinę, dom, dzieci, tyle rzeczy do kochania, a na dolę się skarży. Musiałem mu powiedzieć — nie obrażaj Pana Boga — a ja?

Ten by się był gotów mieniać na moje sieroctwo! Jak tu człowiekowi dogodzić? Przyznał mi się, że żona sekutnica, że ją wziął dla tego folwarczku. Ale chociażby i tak było, przecie dwoje dzieci ma! Toć to skarb! toć to złoto! toć to łaska Boża. At!

Zaprasza mnie do siebie. Pojechałbym, albo i poszedł, ale po co? Napatrzę się cudzego gniazda, to mi w mojej dziurze tęskniej potem będzie.

18 Czerwca. Nie odstępuję na krok Posiłowskiego, opowiadamy sobie nasze stare historye i radziśmy z siebie — radzi! Z tego co mi wyspiewał widzę, że dostatków wielkich nie ma, ale chleba mu nie brak. Czegóż chcieć?? I ten kwaśny! Po obiedzie gdyśmy do Kasi szli, znalazł się Sulzer, którego parę dni nie było. Cięliśmy więc gawędę w trzech, i ma-

ryasza do puli. Spędziłem czas do wieczora jak nie można weselój. Posiłowski sprawę swą skończył i jutro do domu. Szkoda mi go, ale dobra psu i mucha! Parę dni spędziłem wesoło, za co Panu Bogu niech będą dzięki.

19 Czerwca. Odprowadziwszy trochę Posiłowskiego, powracałem do domu, gdy— patrzę, wlecze się przedemną nakuliwając chłopię, jakby Czupurny. Ja go łap za ramię.

— A tuś mi! Zląkł się i chciał uciekać, alem go schwycił mocno.

Czy myślał, że go będę bił — bo jak mi się rozbeczał!! Ledwie go uspokoilem, żeć mu złęgo nie zrobię nic, a chcę wiedzieć tylko dla czego uciekł.

— Nie można było wytrzymać, rzekł z płaczem, — codzień jedno a jedno, i jegomość kroku nie dał zrobić za drzwi. Nogi pozaklękały od siedzenia. A tu zamiataj podwórze, zamiataj sień, zamiataj schody, a noś wodę, a wywóz śmiecie.. I taką strawę dawali, że i pies by nie jadł.

Reflektowałem go, dając mu nauki moralne, ale mało to do niego przystawało, wystawiłem mu całą przyszłość, gdy łobuzować tak będzie. Wysłuchał, to prawda, ale jak potem pięty zadarł gdym go puścił! Nauczyłem go tylko, gdzie mnie może spotkać, uchowaj Bo-

że wielkiego jakiego wypadku! — bo bym rad pomógł.

23 Czerwca. Dawnom nic w dzienniku nie zapisywał, ale bo nie było co, życie nader jednostajne, trudno wymagać aby dla mnie Opatrzność siurpryzy wymyślała. Sulzer pozawczoraj pożyczył znowu dwa dukaty, nie mogłem odmówić, uważałem, że wczoraj był nie trzeźwy znowu. Biedaczysko — nie chcę mu nic mówić, — każdy ma swą słabość.

Byłbym istotnie niewdzięcznym, skarżąc się na Opatrzność, bo dziś mi usłużyła tém, czego dawno pragnąłem. Nigdy się nikomu nabijać nie mam zwyczaju. Idąc Saskim ogrodem, spotykam senatora. Anim myślał się z nim witać, gdy podszedł sam do mnie i zagadnął mnie po imieniu. Dosyć że poznał.

Musiałem mu się spowiadać z tego co się ze mną działo i dzieje, z wesołą twarzą, aby nie myślał, Boże odpuść, że potrzebuję czego. Stał mi na pamięci ów chłopak.

Przyznam się, że filut, bo gdy mi proponował, zapewne nie mając co robić, abysmy w kątku na ławie siedli i wyzwał mnie na opowiadanie o życiu mojem, tak poprowadziłem żartobliwą historję moich dni samotnych, że o Czupurnego zaczął i imię jego matki napomknął. Bóg widzi, nie dla tego abym mu chciał przykrość uczynić, ale dla Józka. Naj-

mniejszej rzeczy nie dał po sobie poznać, śmiał się, nie spytał więcej, słuchał roztargniony, a gdy się jakaś pani ukazała zdala w ulicy, pożegnał mnie prędko i odszedł ku niej.

Niepodobieństwem jest, aby to na nim wrażenia nie uczyniło, ale człowiek wielkiego świata, umie nic nie okazać po sobie. Postarzał mocno, a czy to jakie rendez-vous w ogrodzie miał?? Natura widać się nie zmieniła.

Nie prosił mnie wcale abym go odwiedził, z czego też bym się wymówił, bo to dom nie dla mnie..

25 Czerwca. Byłem u moich gospodarstwa na kawie znowu. Gadu, gadu, niepotrzebnie może wygadałem się im, że mam kapitałik u Potockich na pięć prowizyi umieszczony. Kupiec dowodzi, że gdybym go w mieście starał się ulokować, miałbym osiem do dziesięciu łatwo i żyć bym mógł daleko wygodniej. On sam jak powiada, chcąc handel swój rozszerzyć, wziąłby kapitał na osiem.

Zapewne nie od rzeczy by to było! nie od rzeczy. Człowiek, zda się stateczny, dwie kamienice ma — handel duży. Zabiegliwy..

Tak mi to wbił w głowę, że ciągle z tém chodzę, trzy procenty więcej, nie jest bagatelą, możnaby i samemu żyć i nie raz się z kim obficieć podzielić.

Sulzer pije — bardzo to nie dobrze; żal mi go — ale na to nie ma rady!!

29 Czerwca. Szczególne mam łaski u gospodarza. Prosilili mnie na gospodarski objadek. Był barszcz i flaki, jakich już nie pamiętam kiedy jadłem. Butelkę wina postawił węgierskiego, którąśmy wysączyli do dna i poprzyjaźniliśmy się bardzo. Serdeczny człęk.

Zagadnął mnie o kapitałik, naciskając trochę, abym się zdecydował. Radbym mu usłużył, zwłaszcza, że to z korzyścią jest i dla mnie, a znowu nie radbym okazać jakiejś nieufności Potockim, którzy mi zawsze w terminie regularnie prowizyą płacili.

1 Lipca. Wypowiedziałem tedy mój kapitałik, bo trudno być nieużytym dla ludzi i na własną też korzyść, tak oczywistą, obojętnym. Plenipotent, człęk jakiś bardzo, bardzo poważny, nie rzekł mi nic, tylko gdym mu racyą przełożył, powiedział, że należy być ostrożnym, bo kto na wielkie prowizye poluje, ryzykuje często sam kapitał. Ale przecież mój gospodarz i stateczny i majątny, — żadnego nie ma niebezpieczeństwa.

Uczyniwszy mi tę uwagę, przyrzekł wypłatę bez trudności. Chwała Bogu, że się gospodarzowi wygodzi; ucieszył się bardzo, gdym mu oznajmił o tem. Ja też się raduję, bo i Sul-

zerowi się czasem co wetknie, i Czupurnemu grosz jaki, no — i innym. Trybu życia postanowiłem nie zmieniać. Po co mi wygodki, żyło się tak czas niemały i dobrze było, nie potrzebuję ani lepiej, ani inaczej. Ale satysfakcyę mieć będę! satysfakcyę!!

2 Lipca. Przychodzę do Kasi dziś, a ta mi powiada, że chłopak jakiś trzy razy przybiegał, dowiadując się do mnie od Sulzera, który leży chory przy ulicy Wałowej, żebym do niego szedł co prędzej.

Przeląkłem się mocno, tak, że kawy nie tykając, pobiegłem pod numer wskazany, trzecie piętro. Znalazłem go w nędzném mieszkaniu; jakaś średniego wieku baba brudna, koło niego, lamentując, chodziła. Biedny człek, drugi już dzień grosza w domu nie miał, a gorączka go jakaś trawi. Dałem najprzód zasilek, a sam poszedłem do znajomego mi doktora Zeilera, żeby radził. Szczęście że go zastałem, ale podobno ratunek za późny. Zeiler powiada, że się zniszczył nadużyciem trunku i jakoś nazwał chorobę, nie obiecując nic dobrego. Jutro raniuteńko muszę iść i siedzieć przy nim. Nie mam też nic lepszego do roboty. Z zapasu wziąłem już dukatów pięć, bo na co mnie go tyle, gdy tu człek w niedostatku!

3 Lipca. Złe jest z Sulzerem, dogorywa — nie chciał abym przy nim nocował, — baba

szlocha — przynajmniej mu rosółu zgotowała dobrego, ale nie może jeść. Podejrzewam ją, że mu wódkę nosi, a Zeiler zakazał pod karą śmierci.

5 Lipca. Zmarł biedaczysko Sulzer dnia wczorajszego, no i nie było go za co pochować. Musiałem pójść do zapasu znowu, na chwałę Bożą! Ot, dobrze że się to miało i mogło spełnić obowiązek. Bądź co bądź braknąć mi będzie tego człowieka. Dobry był, roztropny był, drugim doskonale radził — a no, słabość ludzka, nałóg!! Niech odpoczywa w pokoju.

W kawiarni u Kasi długo się za nim oglądać będziemy, bo i miał co powiedzieć i umiał gadać. Bawił wszystkich — szkoda człeka.

10 Lipca. Zjawił się Posiłowski znowu, podobno ma syna do szkół oddać i szuka mu kwatery; a na mnie zdaje nad nim opiekę. Prawdziwe szczęście, bo dzieci lubię i będę miał przyjemne zajęcie. Zapowiada, że chłopak żwawy jak żywe srebro, tém lepiej, magajów nie znoszę.

Zaprosił mnie na śniadanie, aleśmy siedzieli do wieczora na niém, nie mogąc się nagadać. Poczciwości człek. Wieczorem jam go poprowadził do Kasi, bo lubi czasem w bilard zagrać i tak się do nocy przebawiło.

Niezmiernie mnie ucieszyło, że mu kilku dukatami mógł wygodzić. Wybrał się z domu trochę nieopatrznie, a Warszawa kosztuje — hu! ho!

11 Lipca. Odprowadziłem za rogatki pocziwego Posiłowskiego, ale mi się było z nim ciężko rozstać. Zaprasza mnie na gwałt do Sroczyzna do siebie, na dni parę. Dla czegoż nie? Czas już trochę gorący, ale rankami i wieczorami idzie się z przyjemnością. Pójdę pieszo, nie mam co robić, to się rozruszam i służyć mi będzie po miejskiej sedenteryi. Cemu nie?

1 Sierpnia. Z powrotem ze Sroczyzna. Nie taję tego, iż z przyjemnością wdrapałem się na moje trzecie piętro i wróciłem do moich penatów i myszy. Nie puszczał mnie pocziwy przyjaciel ze Sroczyzna, alem dłużej siedzieć i nie mógł i nie chciał.

Posiłowska zacna, miła i wcale jeszcze niczego kobiecina, znacznie młodsza od męża, ma tę przywarę, że zgryźliwa jest trochę i gderać lubi. Ale któż bez ale?

Dostawało się tedy i przyjacielowi, za co on w rączkę, niezbyt białą i niezawsze czystą (przy gospodarstwie inaczéj być nie może) — całował. Posiłowskiemu głowę myła dobrze, ale to go utrzymuje w emocyi i nie daje mu zestarzeć, sprawia że nad sobą czuwa i jest

mu zbawienném. Przy tém ma ten zły zwyczaj, że ząb za ząb się spiera i to ją rozjątrza-

Dzieci nieładne i trochę rozpieszczone przez matkę. Ten co pod moją opiekę ma iść, wiusus nie przeczę, ale w szkołach mu rogów przytrą.

Użyłem świeżego wiejskiego powietrza do syta. Stół był gospodarski, niewykwintny, skromny, ale się z głodu nie marło. Widząc jak jejmość oszczędną jest, środy i piątki suszyłem, co mi na zdrowie poszło i czuję się rzeźwym, jak nigdy. Śniadania też wolałem nie jadać.

Prawdziwie powiadam, że dla starych ludzi to nie ma jak takie życie skromne. Dali mi wyśmienite pomieszczenie w lamusie, gdzie prawda, światła i tytuniu wprowadzać się nie godziło — ale po co mi było w lecie światło i nocą tytuń. Świeże siano pachniało tak aromatycznie. Bez szcurów bym się był obszedł, które nocą dokazywały, mało jednak mi przeszkadzały i kij stawilem zawsze, którym byłem zastukał, zaraz się to wszystko po norach rozbiegało.

A nagadaliśmy się i przegadali — co dusza pragnęła.

Gdym się po tak długiej niebytności ukazał u Kasi — jakże mnie te pocziwe ludziska witały, małom się nie rozplakał.

Tylko Sulzera na jego miejscu zwykłym przy stoliku nie było. Kawa mi się wydała doskonała, zadymiony pokoik tak wesołym i miłym, jak rzadko; wszystkie twarze mi się śmiały, a pytań było bez końca. Niezapomniałem o małych prezencikach ze wsi.

Ta Kasia, choć się na nią służące skarżą, że je strasznie trzępie, ale w gruncie najlepsza kobieta. Dziewczęta by się porzpuśczały, to dla ich dobra. A i tak ta Marysia, taka śliczna dziewczyna, jak malina, padła ofiarą. Gdyby ich ostro nie trzymała, byłoby gorzej jeszcze..

Nikt jednak nie witał mnie serdeczniej nad moich gospodarstwa oboje. I on i ona gdy mnie zobaczyli, chwycili zaraz do siebie, utrałowali i ugościli.

W mojem mieszkaniu faworyty sobie trochę pozwalają. Pomimo, że tam dziewczyna okna otwierała, przewietrzała, naglądała codzien, myszy gospodarowały. Jedna kamizelka wniewecz pogryziona. Stara już była, ale co tam w niej smacznego znalazły, pojąć nie mogę. Fantazyja! aby zębięta nie próżnowały..

Kota burego nie widać na dachu, jeżeli dla niego godzina sprawiedliwości wybiła — ciezyć się będę. Tyran był. Ile ma młodych wróbli na sumieniu, nie zliczyć. A wszystkie chwycone zdradą. Trzeba go widzieć, gdy się skrada, — rzekłbyś że stoi w miejscu, posuwa

się jak igła zegaru nieznacznie, nagle skok—
i już chrupie.

Często mnie tak zirytował.

3 Sierpnia. Na przechadzce pod 5-tym Aleksandrem nawinął mi się Czupurny. Byłbym go nie poznał, wystrojony, włosy uczesane, prawie ładny — roznosi gazety! Od piasku do gazet w jaki sposób szczęśliwy awansował, nie umiał, czy nie chciał mi powiedzieć! Dosyć że na eleganta wyszedł, buty całe, czapka na bakier, teczka na pasku, a mina — daj go katu. Sam mi się zaprezentował, śmiejąc i skacząc. Ucieszyłem się, jest na dobrej drodze, uznaje już pożyteczność alfabetu i dobrodziejstwa sylabizowania. W kieszeni pobrzękiwał trzygroszniakami. Ciekawym do czego to go doprowadzi — Opatrzność czuwa. Dałem i ja mu dwuzłotówkę, bo mi się jego rażność podobała. Spotkałem także tę nieszczęśliwą babę, co była przy Sulzerze, mocno napiłą, — ale ekskuzuje ją w mych oczach raz, że mogła służąc temu człowiekowi nabrać nałogu, powtóre, że opuszczona jest i w wielkiej nędzy.

W takim położeniu ja nawet wódkę ekskuzuję. Dobrze nam co mamy przytułek, jadło i jakie takie jutro, na nędzarzy hałasować, a w ich stanie! Tyle szczęścia co sobie pałkę zaleje. Politowania godni, nie urągowiska.

4 Sierpnia. Nawet w stworzeniach jest pamięć i wdzięczność. Psisko, com mu nogę przewiązał, poznał mnie na ulicy, powąchał, zaskowyczał i tak się witał, żem się prawie rozplakał; ktoś na niego świsnął i — poleciał. Chwili tej jednak nigdy w życiu nie zapomnę. Poczciwe psisko!

5 Sierpnia. Na obiedzie u moich przedwznych gospodarstwa, utraktowali mnie znowu flakami, wiedząc że ja je lubię, tłuste i korzenne były, a posilne!! Na wsi w Sroczynie ani razum nie jadł; ale za to bywały kłuski z mlekiem wyśmienite. Zapiliśmy flaki paru kieliszkami wina. Mili ludzie i mogę powiedzieć, że w nich braterskie znalazłem serca.

6 Sierpnia. Spotkałem na przechadzce pana Senatora, a że on wprzód sam się mojej przypomniał znajomości, sądziłem, że mi wypada się ukłonić, mijając go. Udał zrazu, że mnie nie postrzegł, co łatwo poznać było, potem się widać namyślił i zawróciwszy, sam przyszedł do mnie z twarzą uśmiechniętą. Po staremu mnie zagadnął:

— Jak się masz, panie Gabryelu?

— Do usług.

— Jakże tam idzie?

— Z łaski Bożej nie źle, jak staremu.. nie skarżę się. Począł się uśmiechać.

— Waćpan, panie poruczniku, zawsze więcej żyłeś dla ludzi, niż dla siebie, i teraz pewnie trzymasz się téj wyśmienitej metody. Jakże tam protegowani jego? Śmiał się.

— Za mały jestem, abym mógł kogo protegować, rzekłem.

— Przecież wspomniałeś mi pan o jakimś chłopcu, sierotce...

Nastawiłem uszu. O ho! myślę, sumienie go ruszyło. Chwyciłem się tego i począłem, śmiejąc się, o Czupurnym mu opowiadać. Słuchał niby obojętnie, lecz pewien jestem, że w nim też serce zakołatało.

— Przyznam się, rzekł, że mnie ta historyjka zainteresowała, porucznik miał dar opowiadania. No, i matka tego chłopca była na dworze Starościnej, może pozwolisz, abym i ja w twym dobrym uczynku miał udział jaki. Czasy ciężkie — jednakże.

Sięgnął do pugilaresu, milczałem. Spójrział mi pytająco w oczy.

— Jeżeli pan Senator chce coś uczynić dla sieroty, nie godzi mi się odrzucać, — rzekłem.

Drżącą ręką zaczął przewracać w pugilaresie. — Czasu ciężkie, — powtórzył, wetknął mi w rękę papierek, ukłonił się i odszedł prędko, nim mu podziękować mogłem.

Dopiero po odejściu jego rozwinąłem assygnatę — dwudziesto-pięć rublową. Fraszka

to była, ale zawsze lepiej niż nic i świadczy o poruszeniu serca. Teraz na mnie spada kłopot, jak to użyć, aby poszło na korzyść chłopcu, nie na swawolę. Zakłopotalem się mocno, muszę się poradzić z moim poczciwym gospodarzem.

7 Sierpnia. Bieda z temi 25 rublami, istna bieda! Jako kapitał na procencie przyniesie bzdurstwo, do utrzymania w szkołach chłopca za mało, do oporządzenia za wiele. Co z nami zrobić? Gospodarz radzi, abym u niego wziął sukna, które on ma dać bardzo tanio i od stóp do głów chłopca obszyć kazał. A co mu po tém? Wolałbym go za te pieniądze dać gdzie do nauczyciela, ale na długoż to stanie?

Nie chciałbym mieć nic na sumieniu; pytam wszystkich, radzę się, każdy co innego mówi, i dwóch się nie zgodziło na jedno.. Muszę samego łobuza odszukać i spenetrować go — czego by téż on sobie życzył. Nie inaczej.

Bury kot znowu po dachach łązi, że téż go lichy nie wzięło! Ale co złego, to nie ginie.

8 Sierpnia. Udało mi się przydybać Czupurnego, ale już w stanie odmiennym cale, bez gazet, bez teczki, mina kiepska i odzienie poszarpane. Zaparkłem go do kąta i wziąłem ostro na spytki. Nie chciał mi się tłómaczyć, lecz na końcu wyznał, że w bójce z ulicznika-

mi gazety mu poszarpano i rzucono w błoto, i z tego powodu abszyt dostał.

— Cóż robisz?

— A no nic, — rzekł, — z głodu mrę, — odparł, płacząc..

— A ja — odezwałem się po ojcowsku, — właśnie mam i dla ciebie trochę grosza od jednego pana, który.. u którego matka twoja nieboszczka służyła. Dał mi je na to, abym ci pomógł.

— No, to daj mi je pan! daj! daj! — począł wołać, naciskając chłopiec.

— Poczekaj! nie dam inaczej, jak na co pocziwego, ażebyś przejadł i zmarnował; nie pozwolę. Pójdiesz na naukę.

— A! jako żywo! — zawołał, prawie płacząc, — nie pójdę.

Poczęliśmy się tedy sprzeczać, nie mogąc z nim dojść do końca. Dałem mu kilka złotych własnych, a z 25 rublami wstrzymałem się. Kazałem przyjść do mnie. Obawia się gospodarza; zaręczyłem, że mu się nic nie stanie.

(Kilkanaście kart w rękopiśmie wydartych).

1 Października. (Rok jak się zdaje następny). Trzeci raz już stukam do drzwi gospodarza mojego, rano i wieczorem, znaleźć go nie mogąc. Prawdę rzekłszy, procent, który mi tak regularnie jak zegarek, płacić przyrzekał, zalega. Kapaninę oddaje i niechętnie.

Musi być biedne człeczysko w interesach, ale już ciż o kapitał nie mam się co obawiać, bo by go był nie brał, żeby nie miał ewikcyi. Człowiek uczciwy, wiedział, że to mój ostatni fundusz.

Należy być wyrozumiałym.

Muszę się trochę ścisnąć, bo już się i zapas wyczerpał i grosza przy duszy nie mam, ledwie trochę miedzi, co dla ubogich była odłożona..

3 Października. Nie może to być — nieporozumienie jakieś, nie wierzę w niepodobieństwo. Plotki są. Wczoraj u Kasi, przysłuchując się rozmowie, doszło mych uszów, jakoby gospodarz mój zbankrutował i znikł, a na kamienicach długów tyle, że ostatnie pospadają. W istocie, że gospodarstwa obojga w domu nie ma, drzwi zamknięte na kłódkę, sklep opieczętowany, ale nie wierzę, ażeby mnie nieszczęśliwego mieli... ale to nie może być. Mój kapitalik się znajdzie. Nie byłiby mnie namówili na odebranie go od Potockich i lokowanie u nich, gdyby nań pewności nie było. Mogliby być tak niesumienni?

Mogą być chwilowo w ambarasie..

Trzeba zegarek zastawić. Głowy nie tracę, co robić! co robić!

4 Października. Chodziłem do prawnika, którego mi polecono, bardzo słusznego czło-

wieka na radę, bo okazuje się, że istotnie ci biedni zbankrutowali. Okoliczności, złe czasy, dopust Boży, może rachuba fałszywa. Czeremszyński wziął mój skrypt i obiecał się poinformować. Pewny jestem, że źli ludzie przesadzają.. tak znowu fatalnie mnie Pan Bóg za moje w ludziach zaufanie pokarać nie zechce. Pojutrze obiecał mi rezolucyę..

6. Byłem u Czeremszyńskiego. Stań się wola Twoja. Powiada, że istotnie mój gospodarz zbankrutował w niezbyt uczciwy sposób. Moja należność, stojąca na samym końcu w rejestrze, podobno nie da się odzyskać. Spytałem, czy choć w części? Wątpi o tém bardzo

Nie wierzę temu, lecz jeśliby się panu Bogu podobało dotknąć mnie, jużciś się to bez woli jego stać nie mogło? Mamże rozpaczać? A co rozpacz pomoże.

Posiłowski mógłby mnie wziąć za gumienego, boć ja wiele nie potrzebuję, a na coś się przydać mogę. Nogi mam jeszcze i oczy, do dozoru posłużę. Trzeba tu jednak wyczerpać wszelkie środki. Gdyby mi się choć, bodaj, część trzecia okroiła, choć byle co— ale— nic! nic! Nie może to być.

3 Listopada. Wracam do tych moich notatek, choć z ciężkiem sercem. Wola Twoja Panie, powtarzam, aby nie popaść w zwątpienie. Z domu zasekwestrowanego ruszono mnie na

bruk; bo sumiennie nie mogłem przyrzec, że płacić będę za mieszkanie, gdy nie mam czém. Pocziwa stara przekupka dała mi przytułek u siebie w alkierzu za małą bonifikacją. Zawadzać jój nie będę. Rzeczy i garderobę posprzedawałem, aby nie mieć ciężaru z tych rupieci. Po co mi była garderoba? Jedna odzież na lato, druga na zimę, starczy. Człowiek jest swobodniejszy. Nie czuję się też słabszym przez to, że jem tylko chleb i czasem coś trochę ciepłego. Te regularne objady, to niedobre nawyknienie, — człowiek i żołądek się rozpieszcza.

Trzeba brać przykład ze stworzeń bożych, które ani stołu, ani kucharczów nie mają, ani regularnych godzin pożywienia, i silne są i zdrowe. Więc ta metoda, urwij, podaj, musi być najlepiej zdrowiu sprzyjająca. Bieda uczy rozumu, słowo daje.

Jutro, zostawiwszy manatki moje u pocziwój kobiety, chociaż dni są zimne, pójdę do Sroczyzna. Chłopca ze szkół odebrali, więc się ja ich tu nie doczekam. Posiłowski mnie przygarnie po koleżeńsku, nie wątpię — nie potrzeba mi wiele, a odsłużę, dalipan.

15 Listopada. Wracam ze Sroczyzna, okazuje się, że m się w rachubach omylił, nie winię pocziwego Posiłowskiego, ani żony jego, ale miejsca nie mają, obchodzą się bez gumienne-

go, byłbym im ciężarem. Muszą myśleć o dzieciach. Bądź co bądź, *prima charitas ab ego*. Mają słuszość.

Gdym się wypowiadał im z mojego nieszczęścia, biedni ludziska ręce załamali, spojrzeli po sobie, stary mój kolega długo się słowa nie mógł odezwać. Powiedziałem mu zaraz, że przychodzę do niego służby szukać; na co jejmość zakrzyknęła:

Zmituj się, albo to my panowie! żebyśmy usługi trzymali, my sobie sami służyć musimy!

Przyjęli mnie jak nie można lepiej. Sam widzę, że źle rachowałem, bo, przy ich szczupłych funduszach, niepodobieństwo się obarczać. Spędziliśmy wieczór na gawędce, jak za dobrych czasów.

Ja nie desperuję, że jakiegokolwiek miejsce, zajęcie, gdziekolwiek w mieście uda mi się wyszukać: nie jestem wcale wymagający, byle kątek, jaka taka strawa, odzienia mi do trumny starczy. Z obóciem może być trudność, ale opatrność Boża! opatrność Boża! Grzech wielki, że zwątpiłem o niej. Jeżeli na ziemi potrzebny jestem, pomoże mi, jak nie... no— to cóż? albowiem to ja pierwszy lub ostatni w położeniu podobnym.

Ta poczciwa stara moja gospodyni musi suponować, że ja już nie mam co jeść, bo mi ciągle jakąś przekąskę proponuje, a ja nie

miałbym sumienia, gdybym pracującą biedną kobietę objadał. Więc się wymykam umyślnie w tój porze z domu, gdy jedzą, ażeby mnie nie nakarmili, a wróciwszy, opowiadam niestworzone rzeczy o paradnych obiadach, których nie jem. Suchy chléb, to istotna kuracya dla człowieka! Apetyt! jakiegom nie miał dawno! wszystko mi pachnie.. Każda rzecz wydaje się przedziwnego smaku.

Sygneta ojcowskiego nie radbym sprzedawać, chciałbym, żeby go ze mną włożono do trumny; z tój gałęzi Rzempińskich jestem ostatni — *sterilis*. Boję się, żeby mnie do tego gwałtowna potrzeba nie zmusiła. Miałem kilku dłużnych mi, ale tych teraz ani odszukać, i — są to ludzie biedni — naciskać trudno.

Roboty na żaden sposób znaleźć nie mogę. Podjąłbym się wszelakiej, bo się pracy nie wstydzę, byle siły starczyły. Wszędzie mnie odprawują, spojrzawszy, żem stary, politykując. A od czegoż Opatrzność, tylko co jój niewidać! Trzeba wytrwać, serca sobie nie psując. Pogodném czołem, panie Gabryelu! zuchowato! Czoło stawić przeciwności! Albo to ja jeden? Miałem i ja dni dobre, miałem być wyjątkiem i niezaznać biedy? Chyba bym człowiekiem nie był. Wszystko to w porządku, a narzekać, gdy się tyle chwil jasnych przeżyło, byłoby niewdzięcznością.

Macte animo, panie Gabryelu

17 Listopada. Mój Czupurny, Pan Bóg łaskaw, na człowieka wyjdzie, słowo daję, mnie to tak cieszy, jakbym sam doznał nad sobą opieki. Od czasu, jak mi się go udało umieścić w Magazynie u Zelta, do posyłek, pod dozorem, zaszła w nim zmiana szczęśliwa. Chłopak wzięty w ryżę, otarł się, otargał, sam mówi, że mu dobrze, wygląda jak jabłko, a w sklepie mi powiadają, że okrom tego, iż nadto żwawy, nic mu do zarzucenia nie mają. Spotkałem go wczoraj w ulicy z dwoma pudełkami pod pachą, poświęcającego piosenkę. Gdy mnie zobaczył, sam, pocziwie chłopczycko, przybiegł do mnie i w rękę mnie pocałował.

— No, jakże tam?— zapytałem.

— A dobrze! chwalić Pana Boga! Ale, — spojrzał mi w oczy, — coś jegomość mizerny!

— Ja, co ci jest.

— Czy to prawda, że pan wszystko stracił? zapytał.

— Jako wszystko,—odpowiedziałem, uśmiechając się, widzisz przecie, że ani humoru, ani spokoju sumienia, ani ufności w Bogu nie straciłem, a reszta — fraszki.

Jakoś się tak do mnie uczepił Czupurny, jakby on teraz chciał mnie pomódz! Ale! zapewne!! Śmiech bierze, — musiałem co prędzej odejść. Takżeby nie miał sumienia, ja

stary młodemu odbierać, który na świecie potrzebniejszy jest, niż ja. A po mnie co światu? Do grobu się i tak dowlokę.

18 Listopada. Nie ma jak bieda, żeby ludzi doświadczyć, a co pociech z jej łaski! Najprzód o poczciwości serca tego mojego kochanego Czupurnego się przekonałem: powtóre, cóż to za zacna kobieta, ta moja stara karmicielka! Gderliwa, kwaśna, ale serce złote. I gdyby nie interes Czupurnego, nie byłbym jej poznał i nie miałbym z niej opiekunki, nie wiedziałbym, że pod tak niepozorną łupiną, tak piękna dusza i serce kryć się mogą!

Nieszczęście też na coś przydać się może, ledwie że nie dziękuję ręce, co mnie niém dotknęła, tyle spotykam na tém ludzkim śmiecku dyamentów.

A! ta moja Izydorowa! Ktoby na nią spojrział, albo posłuchał, gdy, wzięwszy się w boki, wymyśla, stojąc w straganie, mógłby ją za niegodziwą babę mieć; tymczasem to złota kobieta!

Jużbym też był najniewdzięczniejszym z ludzi, gdybym za tak tani grosz, będąc u niej w komornem i dozając tyle z jej strony miłosierdzia, nie starał się około domu być użytecznym. Robię więc co mogę i to mi na zdrowie doskonale służy. Parę razy pójść do studni, skałek nałupać, ognia pomódz rozpaścić,

spisać rachunek, tak mi łatwo przychodzi, a Izidorowej jest zawsze jakąś ulgą. Ma ona dosyć i tak na głowie.

19 Listopada. Coraz być zimniej zaczyna, dzięki Bogu, że bajówkę mam niezgorszą i mróz gdy przyjdzie, nie dokuczy mi. Mało co było porozparanego koło niej, nie mając co robić pozaszywałem. Dawniej się to do tego krawca brało i kilka groszy nadaremnie wydało, a teraz— na nice wywróciwszy, tak paradnie zre-staurowałem, że i krawiec z professyi lepiejby nie potrafił. Wszystko to są korzyści z położenia, *gratiae status*, anim suponował, żebym się umiał tak z igłą obchodzić. Z butami cięższa sprawa.

Butów jednak jest, starych wprawdzie, par kilka, a te, przemieniając stosownie do pory, okoliczności i ich przymiotów, długo się nie-
mi obchodzić mogę. Oglądałem je dziś wła-
śnie. Jedne mają podeszwy doskonałe, a skóra
na nich popękała, w drugich przeciwnie, zdar-
te podzelowanie, a przodki paradne i mocne.
Trzecie, najgorsze, ale te mogą służyć do bło-
ta, żeby tamtych oszczędzić. Nóg nie mam
co pieścić, choćby zamokły, nic się im nie sta-
nie. Mało też teraz wychodzę z domu, chyba
do kościoła na mszę świętą. Spacerować mi
się odechciało, zważając na buty, przyjemność
ta za kosztowną.

20 Listopada. Ten bestya Czupurny musiał mnie chyba szpiegować, dosyć, że dziś patrzę, a ten w progu stoi. Ażem się zachnął! Dobrał sobie chwili, żeby Izydorowej nie zastać.

— A ty tu co robisz?

— Ot, przyszedłem zobaczyć, co się z panem dzieje, — odezwał się, oglądając dokoła. — Po drodze mi było. Widzi pan, musi już być bięda, kiedy pan się wniósł do przekupki, do tego paskudnego alkierza..

— Jaka bięda? — zawołałem, — cóż ci to znów świta w głowie? Ale! cóż to? nie wolno mi fantazyi mieć? Znudziło mi się na jednem miejscu, tom się tu wniósł. Kobieta dobra — mnie tu wygodnie.

Czupurny począł cmokać, rozglądając się, dobył z kieszonki od kamizelki nieśmiało trzy talary i począł je w rękę obracać, patrząc na mnie.

— Ja bo panu winien jestem, — szepnął.

— Coś ty mi winien? — krzyknąłem, — oszalałeś, czy co.

A jużciż, — rzekł cicho. — Cóż to ja że-brak, czy co? Pan mi pożyczał, pożyczał, a teraz się powinienem wypłacać powoli. Więc niech to będzie na rachunek.

I położył trzy talary na rogu stolika. Dopiero, gdym się okrutnie gniewać począł, wziął je i nadąsawszy się poszedł.

Patrzajcie go!.. A to mi się podoba!

No — ale z niego być może człowiek, a kto by to był powiedział, gdy od takiego łobuza poczywał. Miły Boże! jak to nigdy ludzi pośpiesznie sądzić się nie godzi!!

25 Listopada. Ja bo taki, zawsze to powtarzam, nie tak źli są ludzie, jak ich czernią melancholicy i mizantropowie.

Wczorajszego dnia, że dzień był wcale niczego, suchy, a nawet ciepławy, jak rzadko o téj porze roku, wyszedłem się raz przejść trochę, choć mi butów żal, ale z ostrożnością i należnemi dla nich względami, omijając miejsca wilgotne i zbyt szorstkie.

Trochę w moim alkierzu bywa duszno i mokrawo.. czasem stare piersi ledwie tém powietrzem oddychać mogą. Potrzebowałem świeżej aury i ruchu. Było to pod wieczór, bo dniem pokazywać się nie lubię w resztkach odzieży, jaka mi pozostała, aby się starym znajomym z lepszych czasów, choć ich nie wiele jest, nie nastęrczać z moją biedą. Wróciwszy, zastałem moją gospodynię nad miską ciepłej strawy, jak zwykle, po trudach dnia wypoczywającą. Babusia tak do gadania nawykła, że nawet gdy już sama jest i mogłaby gębę odpocząć, sama do siebie coś mruczy. Zobaczywszy mnie, otarła usta i powiada śpiesznie.

— A tu do pana, panie poruczniku, dwa razy postylion list jakiś przynosił, ale mnie go oddać nie chciał, bo ważny i do własnych rąk jego.

Mocno mnie to zdziwiło! List, do mnie! Nie mogłem pojąć od kogo, a jeszcze jakiś ważny. Któżby do mnie mógł mieć jaki interes? Ja na świecie z nikim nie korresponduję. Byłem niespokojny. Co to może być. Całą noc mi to po głowie chodziło, i gorzej spałem niż zwykle, choć może i ta zaducha wilgotna w alkierzu przyczyniała się do tego. Dziś już nie ruszyłem się z domu, czekam. Co to być może? Myśli galopowały, odgadując. Około południa, patrzę, idzie postylion i gruby list niesie w ręku.

— Pan porucznik Gabryel... et caetera, powiada, — aż w policyi musiałem się o pańską kwaterę dowiadywać.

— Ja jestem.

— Niech że mnie pan tu pokwituje.

Patrzę na kopertę, pismo nieznanome, stępel zagraniczny i kazali półtora złotego dopłacić za porto. Aż mi się przykro zrobiło. List najwyraźniej do mnie, z tytułem porucznika. Cóż to może być? Rozrywam kopertę, wypadają jakieś banknoty niemieckie. Osłupiałem. Zrazu nie mogłem pojąć od kogo to przyszło. Za co. Po co? <http://rcin.org.pl>

A to — list od mojego zbankrutowanego gospodarza, co mi zarwał moje półtora tysiąca czerwonych złotych, niech mu Bóg nie pamięta. Pisze tedy, iż go sumienie gryzie, że mi posyła na moją należność co może! Cud łaski Boskiej. Banknotów znalazłem w liście na sto talarów pruskich!! Jezu miłosierny, czysta manna i rosa niebieska. Właśnie pod zimę mogę sprawić parę butów nowych, bo buty są dla mnie pierwszorzędną potrzebą. Izydorowój będę mógł z góry zapłacić komorne, no — i czasem sobie trochę ciepłej stawy pozwolić. Poszedłem na mszę świętą na podziękowanie Bogu, który serce tego człowieka poruszył. I nie jest to jeszcze tak z gruntu niepocziwy człek, kiedy przecie coś mi przysłał.. Miły Boże! — a czułżebym ja taką radość z tych, z pozwoleniem, głupich pieniędzy, gdybym nie zaznał trochę biedy, niedostatku i kłopotu. Wszystko bo ma swą dobrą stronę, tylko trzeba ją umieć znaleźć, a nie zakwaszać się i nie truć lada czém. *Sit Nomen Domini benedictum.* Sto talarów — a toż skarb!

26 Listopada. Gdym historią tę moją opowiedział Izydorowój, pocziwe kobiecisko tak się tém ucieszyła, że się niemal spłakała. Zarazem jęj za komorne zapłacił z góry, choć brać nie chciała. Spokojną mam całą zimę, a że powietrze w alkierzu nie jest najwyśmiej-

nitsze? Pieścić się nie trzeba. Jedna rzecz mi dokucza najbardziej, to zbyt bliskie sąsiedztwo beczki z kwaszoną kapustą, która mi jakoś śmierdzi. Surową kapustę nawet jeść lubię, ale tak przez cały dzień nią oddychać, staje się niemiłym trochem. Mam nadzieję wszakże, iż się do tego przyzwyczaję i naturę zwyciężę, bo to są kaprysy człowieka rozpieszczonego. Dzięki Bogu za to co jest, a wymyślać się nie godzi. Ludzie do daleko przykrzejszych wyziewów nawykają,

27 Listopada. Poszedłem z butami do Odrzyńskiego, z którym się oddawna znam, i jest człek uczciwy. Cholewy jeszcze bardzo dobre, skóra doskonała, dychtowna, jakiej teraz nie dają. Przyszyć tylko przodki nowe i buty będą choć od parady. Po naradzie z Odrzyńskim i maleńkim targu o cenę, przyrzekł mi uszyć po przyjacielsku, żeby to przecie trzymało, nie tak jak te nowomodne obówie, co staje na dwa dni z dzisiejszym. Nigdy nie zapomnę co mi nieboszczyk Sulzer opowiadał o tym szewcu z Krakowskiego Przedmieścia, którego mu (za jego lepszych czasów) zachwalono. Prawda, że robił buty eleganckie, choć je było w salonie na etażerce postawić — ale tyleż tego. Sulzer kazał mu sobie uszyć buciki, włożył je i we trzy tygodnie z podeszew strzępki, skóra spękała się

w kawałki. Idzie do tego sławnego artysty ze skargą, a ten mu odpowiada w boki się biorąc:

— Cóż to dziwnego? Waćpan chodzisz piechotą, ja tylko dla tych buty robię, co kare-tami jeżdżą, — i po roku u nich całe!!

Ale mój Odrzyński inny człek, wchodzi w po-łożenie, rozumie czego mi potrzeba.

Z koszul się naśmiałem, przedsięwziąwszy rewizję ich, trzy jest wcale całych i dobrych, dwie mocno nadwerężone, ale niezdesperowa-ne, jedna — na onuczki chyba. Czytałem gdzieś, że ludzie dawniej koszul wcale nie no-sili. Jest to, prawdę powiedziawszy, zbytek, ale że się do niego nawykło, znałogowało, trzeba słabości uledez. Liczba niedobitków moich bar-dzo dostateczna. Bywało w wojsku miewaliś-my dwie całej parady, jedną w mantelzaku, drugą na sobie. Jedna się przepierała, druga wkładała, a wyśmienicie się żyło z niemi. Oh! oh — jakoś to będzie, przy pomocy Bożej — jakoś to będzie.

1 Grudnia. Tchnąć nie było czasu a témbar-dziej pisać. Dnia 28 Listopada zaśląbła na-gle Izydorowa poczwiwa, zaziębiła się siedząc w straganie, bo czas był szkaradny, chłód przejmujący, a nigdy się porządnie ciepło odziać nie chciała. Wieczorem położyła się w łóżko z gorączką, a nad rankiem wzmogła się ona tak, że utraciła przytomność. Pobie-

głem po doktora zaraz i siedzieć przy niéj musiałem na przemiany ze sługą sierotką, i o wszystkiém pamiętać. Dosia, głupia dziewczyna, głowę całkiem straciła, lamentując i ręce łamiąc. Kilka dni nie wiem czym jadł, a co o śnie mowy być nie mogło. Biednéj, staréj, poczciwéj gospodyni, ot tak, prawie się nagle zmarło, — tylko, że trochę odzyskała przytomności, gdy jéj księdza sprowadziłem.

Zdawała się być nie źle w swoich interesach, a po śmierci okazało się, że nie zostawiła nic oprócz długów i trochę rupieci. Familia nie chciała nic wiedzieć o pogrzebie, ani o trumnie, ani o niczém; spadł na mnie obowiązek, od którego się nie myślałem uchylić i zapłaciłem za wszystko. Trochę sprzętów zabrano za długi, a co gorzej, że mnie z alkierza wyrugowano, choć z góry za niego zapłaciłem. Nieboraczka, świeć panie nad jéj poczciwą duszą, wcale temu nie winna, niech jéj Bóg da spoczynek po pracy ciężkiej! Biedna zacna, prostoduszna istota!

Odprowadziłem ją do grobu i rzuciłem garść ziemi na ubogą trumnę. Nazajutrz potrzeba sobie było kąta szukać, o co na zawołanie i w téj porze nie łatwo. Trafił mi się w ulicy ten mój poczciwy Czupurny i jak zaczął biegać, znalazł izdebkę na tyłach, u jakiegoś ubogiej wdowy po stolarzu. Ubogim z ubogimi

zawsze najlepiej i najbezpieczniej,— swój swego rozumie.. Prawda, że izdebina paradna nie jest, że muszę przechodzić przez pierwszą, pełną dzieci i wrzawy, bo te robaki jęj krzykliwe są, żwawe okrutnie i po nocach nawet biednej matce spoczynku nie dają. Piecyk swędzi i dymi, wilgoci dużo, zawsze to jednak lepiej, niż żadnego nie mieć przytułku. Człowiek się zwolna do tego co złe i niedogodne przyzwyczai, a co się da poprawić, poprawi. Ta biedna majstrowa przy swych kłopotach, których ma dużo, rozirytowana biedna do zbytku, dzieci zbytecznie karci i musztruje, po całych dniach ją słychać, ale, jak sama powiada, została sierotą z liczną rodziną na głowie, nie może sobie rady dać i to ją czyni niecierpliwą, a czasem nawet wydaje się złą, ale nią nie jest. Serce najlepsze, ale — bieda! bieda! rzadko kto ją nosić umie jak należy, tak samo jak i szczęście. Biedna kobieta i z dziećmi temi ma kłopot, i z czeladzią, która buszuje, bo warsztat prowadzi, co nie raz i mężczyźnie trudno.

Ja mam dla niej wielki szacunek, bo zabiegliwa, pracowita, śmiała i nieznużona; a że hałasuje i klnie — bez tego się nie obejdzie, mając przez wierzch głowy roboty i troski.

Obliczyłem się dziś z nadwężoną kassą moją. Pomimo strat poniesionych, nieuchron-

nych, zimę jakoś przekołatam, chociaż ścisnąć się, oszczędzać potrzeba. Gdybym mógł sobie co zarobić, z serca pychę szlachecką i porucznikowską zrzuciwszy? Ale gdzie? jak? kogo o to prosić? Nie wiele umiem, lub tak jak nic, siły w rękach trochę jest, więc chyba by się ta prosta zwierzęca siła dała zużytkować — a cóż w tém złego?? Do pisania oczy mi nie służą; nie jestem pewny czy *correcte*, jak to teraz wymagają, mógłbym przepisywać. Rzemiosła żadnego nie umiem, a uczyć się bodaj zapóźno.

6 Grudnia. Dzisiaj, prawdziwy cud! Spotkałem się z kolegą Roźniakiem. Ni mniej, ni więcej nie widzieliśmy się lat trzydzieści. Byłbym go też nigdy nie poznał, bo postarzał i zmienił się nadzwyczajnie, ale miał brodawkę poziomkową około nosa, jakiej drugiej nigdy w życiu nie widziałem, po niej go zaraz przypomniałem sobie.

Wołam nań: — Panie Pawle? na próbę.

Odezwał się odwracając: — He? Ale mnie nie poznał wcale, może z powodu ubogiej mojej odzieży, albo i wieku. Niegdyś człowiek dosyć elegancką miewał minę, was do góry — ho! ho!

Musiąłem mu się po formie zaprezentować i przypomnieć, dopiero zakrzyknął:

— Na rany Boskie, a czyż to być może?

Widywał mnie w innej sytuacji. Między

nami jest tam nawet przez nasze matki jakieś dalekie pokrewieństwo. Ze stroju, miny i fantazyi zauważyłem, że mu się dzać musi dobrze i pomiarkowałem zaraz, że się nie powinien przed nim skarżyć na tę moją biedę, aby tego nie wziął za przymówkę do kieszeni.

Złoty człowiek, dobry z kośćciami, ale zawsze był skąpy. Wszyscy wady mamy, nie jesteśmy aniołami, to trudno, a z drugiej strony człek z rodziną, ma obowiązki; skąpstwo jego nazwać należy cnotą.

Musiałem przed nim udawać wesołego i dziwaka, bo by się nędzy mojej nastraszył i czmychnął mi, a niezmiernie mi się z nim chciało rozmówić o naszych wspólnych znajomych, o starych czasach — o tych rzeczach co w duszę balsam leją, o których ja nie mam do kogo przemówić i słowa.

Pogadaliśmy tak na początek trochę, w ulicy stojąc, i odprowadziłem go do hotelu Smoleńskiego. Gdy mu zaraz w początku dał do zrozumienia, że, choć się prezentuję tak ubogo i niepozornie, nic od nikogo nie potrzebuję, poweselał widocznie. Wiedział dawniej, że miał kapitalik u Potockich, umyślnie zmydlił nie przyznając się do tego, że go straciłem — bo by nieochybnie stchórzył i humor by mu odebrało.

Traktuje mnie więc jako bezdzietnego sta-

rowinę, po którym, w danym razie, tytuło pokrewieństwa mógłby się nawet spodziewać przyjacielskiego legatu.

A to jest, prawdę powiedziawszy, z mojej strony szelmstwo i niegodziwość— wyrzucam to sobie. Nie będę go długo utrzymywał w tym błędzie, bo by to było kłamstwo i podłość— honor nie pozwala. Bylebym się z nim wygadał o wszystkich, rozpytał, nacieszył, powiem mu prawdę całą. Jestem pewien, że gdy się dowie o niej, strach go ogarnie. Ludzie są słabi, na widok cudzego nieszczęścia, tak jak zaraźliwej choroby, czują niepokój i trwogę.

7 Grudnia. Roźniak się rozochociwszy prosił mnie na obiad. Nie zrukuje się na to, bo w Smoleńskim hotelu stół nie drogi, a butelka portera krajowego także nie przejdzie dwu złotych. Mój Boże! mój Boże! Jakże mi się tu wydało wszystko smakowitem, przedziwnem! Tak dawno nie jadłem porządnego obiadu, a nawet i obiadu w ogólności, ograniczając się chlebem, serdelkiem, albo nawet chlebem z jaką taką polówką!! Co to za dobrodziejstwo ten głód, jak on wszystko potem czyni wyśmienitem.

Ale fraszka obiad! cośmy się nagadali, naprzypominali i naśmieli!

Najbardziej mnie to poruszyło, gdy Roźniak wspomniał boską ową Paulinkę, w którejem

się ja na zabój kochał, którą jeszcze dziś pod siwym włosem ubóstwiam. Rodzice ją gwałtem za starego wydali i uczynili nieszczęśliwą, a Roźniak mi powiada, że jeszcze teraz, gdy kto o mnie wspomni przy niej, rumieni się biedna, jak by młodą była i przysięga, że ona mnie w sercu nosi. Notabene, że bezdzietną jest, stary safandula cały jój majątek zapisał i zmarł zostawując wdową. Staralo się o nią wielu, za nikogo wyjść nie chciała! Boska Paulino! stary nędzarz nie mogę nawet pójść ci się dziś rzucić do nóg i podziękować, aby ci lepszego obrazu z pamięci nie wygluzować. Spotkamy się odmłodzeni na innym świecie.

Dawno takiego nie doznawałem uczucia — czułem się odmłodzonym. Łzy mi się zbierały pod powiekami. Oni mnie tam, powiada Roźalski, dawno mają za umarłego, to i lepij.

Dosiedzieliśmy tak za stołem, gadu gadu, do późnego wieczora. W końcu Roźniak powiada mi:

— Co bo wy, panie Gabryelu, w tém mieście-sku siedzicie, niewiedzieć na co i po co? Wiesz co, przyjeżdżaj do mnie na wieś, w oficynie są dwa pokoiki śliczne, jakby zrobione dla ciebie. Ja was za tanie pieniądze dobrze żywić, opalać, opierać będę, dam wam i ciepły kąk, chłopaka do usługi.

Milczałem, słuchając, a serce mi biło. E! ra-

daby dusza do raju, ale grzechy nie puszczają! Dłużej kłamać milczeniem nie godziło się. Powiedziałem mu tedy:

— Mój drogi, ja bo i najtaniej wkrótce płacić nie będę miał czém.

Ten aż osłupiał, a potem zachnął się.

— A kapitał że ten u Potockich?

— He! he! — rzekłem śmiejąc się, — dawno mu Reziem aeternam zaśpiewano.

— Jak to? zmarnowałeś go? na co?

Opowiedziałem mu całą historią tego kapitału, po prawdzie, obwiniając moje własne głupstwo a oczyszczając biednych ludzi, którzy pewnie sądzili, że to ich uratuje. No, nie udało się, a ja padłem ofiarą.

Mój Roźniak jakby na niego kto wiadro zimnej wody wylał, ostygł natychmiast, zakłopotał się, zmięszął mocno.

Po chwilce niewiodącej się rozmowy, powiada na ostatku:

Prawdę a Bogiem, tobie bo już z miasteczka, do któregoś nawykł, bardzo by było przykro! Ty byś na wsi nie wyżył, bo nałóg ma swe prawa. Trudno na starość obyczaj zmieniać. Potem począł na ludzi wyrzekać i na swoje interesa, że mu idą nieszczególnie, że córkę starszą wydał za trutnia, że go syn nieźmiernie kosztuje. I tak rozstaliśmy się.

8 Grudnia. Awantura! Słowo daję. Gdym dzisiaj rano przyszedł do Roźniaka, choć mi nic nie wspominał o wyjeździe wczoraj, już go w hotelu nie zastałem. Wyniósł się, czy wyjechał, portier mi coś przez zęby niewyraźnie cedził, jakby zakłopotany, a w końcu gdym się dopominał o to, coś się z nim stało, zawołał niegrzecznie:

— Dosyć że nie ma! Co darmo gębę studzić, kiedy powiadam że nie ma, to nie ma.

I tyłem się do mnie obrócił. Ci ludzie w ciągłych kłopotach, nawykają do takiego kwaśnego humoru, nigdy wesołego w hotelu portiera nie widział.

Musiał odebrać wiadomość z domu Roźniak, i to go do nagłego odjazdu napędziło. Byle się co złego mu nie stało.

10 Grudnia. Zabawna znowu historia. Gdym szedł przejść się po Dynasach, spotykam człowieka z piłą pod pachą, a ten popatrzawszy na mnie, wręcz proponuje mi, że kompan od piły mu zasłabł, czybym ja się nie zgodził z nim razem drzewo trzeć!!

Z początku mnie to wzruszyło jakoś dziwnie aż krew mi do głowy palnęła, alem się jednéj chwili opamiętał. A cóż w tém złego? co w tém złego? Naprzód, że biednemu człowiekowi dopomogę w ten sposób do zarobku, powtóre, nie od tego jestem, ażebym i sam coś uczciwie zarobił. Więc od słowa do słowa, w ga-

wędę. Człek jakiś znać i stateczny i roztropny, bardzo mi się podobał. Z powodu, że piła jest jego własnością, połowy zarobku mi dać nie mógł, co sprawiedliwa, trochę więcej nad część trzecią. Ale ba — pomyślałem, trzeba i tego poprobować. Zgoda—chodźmy. W taki czas chłodny satysfakcja jest drzewo trzeć, tak to wyśmienicie krew rozgrzewa. Nie ma jak ruch, zwłaszcza dla nas podstarzałych. Zrazu szło mi nieosobliwie, potem, jakem się ułożył, piłowałem, słowo daję, jakbym w życiu nigdy nic innego nie robił. Zbawiło mnie to. Siedliśmy coś przekąsić, wdałem się z moim nowym kolegą, panem Filipem Chromym w gawędę i z przyjemnością go słuchałem opowiadającego dzieje swe. Szkoda, że człeczysko z tego swojego stanowiska zbyt czarno patrzy na świat i z piłą się pogodzić nie może. Ale co za harda dusza! mosanie! Jakoś i on mnie i ja mu znać do serca przypadłem bo mi w końcu powiedział:

— Bierz go licho tego Pankiewicza, który raz wraz choruje, bo się zalewa, jak jegomość chcesz, ja robotę mam zawsze, będziemy z sobą drzewo piłowali.

— Czemuż nie? Jestem przekonany, że mi z tém będzie zdrowo! Co mam robić? próżnować? baki zbijać, a siłę która jest marnować? Prawda, że mi wieczorem ręce bolały i kto wie czy pod pachami nie nabrzęкло — ale to

przejdzie... Gagatkiem żadnym nie byłem, siłę mam jeszcze! A do piły, panie poruczniku. Słowo daję, śmiać mi się chce... Żeby tylko moja szlachta się o tém nie dowiedziała, bo by mnie ukamionowali.

Zarobiłem parę złotych, które mnie więcej uszczęśliwiły, niż dawniej tysiąc. Nie ma to jak ubóstwo, aby dodać smaku do wszystkiego..

24 Grudnia. Co tam ten biedny stary Filip Chromy robi bezemnie? Pankiewiczowi dał abszyt, a ja tymczasem dłużej z nim drzewa na żaden sposób trzeć nie mogę. Siły mnie zupełnie opuściły. Musiałem się wczoraj położyć i ot, jeszcze na samą wigilię Bożego Narodzenia majstrowej mojej chorobą uczynić przykrość. Boć to rzecz nieprzyjemna chorego mieć pod bokiem, ale ani stęknę, ani drgnę, ani pisnę, ani się ruszę! Sza! choć okrutnych bólów doznaję.

Niewielka sztuka... (tu zmazano)..

Zimno w izbie, palce kostnieją, pisać niepodobna, a obok dzieci huczają! daj im Boże na zdrowie. Jakie to wesołe!.. Coś mi jest bardzo, bardzo niedobrze, żebym mógł choć zasnąć.

25 Grudnia. Na mszy świętej, na pasterce być nie mogłem, przykro mi to bardzo, ale nogi mam obrzękłe, obówia ani wciągnąć, w głowie się jakoś kręci, w ustach zasycha,— no — i oczy się kleją, — może choć zasnę.

Miałoby to być już oswobodzenie?

Niech Bóg czyni ze mną co Jego wola i łaska, żyło się też dosyć! Stań się wola Twoja i niech za wszystko Imię Twe będzie błogosławionem.

Na ostatniej stronnicy zeszytu, po ogromnym żydzie, który wygląda jakby na nim z rąk pióro wypadło, obcą ręką dopisane:

„Dn. 25 Decembris 18.. Wezwany przez majstrowę Łukaszową Niedźwiedzką do chorego człeka, mieszkającego u niej w komornem, wypowiadałem go jeszcze przytomnego i dałem mu wijatyk i oleje święte.

Umarł wielce przykładowie, jak się z tych raptularzy okazuje, stary żołnierz i szlachcic dobrej familii, człek niegdyś zamożny. Ponieważ fanty pozostałe po nim, na zapłacenie pogrzebu nie starczyły, z miłosierdzia go pochowano. Pokój duszy jego.

Ks. T. M. S. T. Doktor.“

„Raptularz mi ten majstrowa oddała, bo się nikomu na nic nie zdał. Osobliwe zrządzenie Boże, iż musiałem później na rekwizycję mecenasa M. wydać metrykę zgonu, bo się okazało, że mu niejaka pani Paulina M. wdowa, cały majątek testamentem przekazała, ale nim odszukano porucznika, poszedł już do chwały Bożej, i nic dziś nie potrzebuje.

Ks. T. M.“

ADAN

<http://rcin.org.pl>

KONIEC.

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

F. 431/15



F

431

a, b